

Ananda Devi
ZIELONE SARI

przełożył Krzysztof Jarosz



wydawnictwo
w podwórku

Informacja o książce

Ananda Devi

ZIELONE SARI

przekład i postowie
Krzysztof Jarosz

wydawnictwo
w podwórku

Autorka

Ananda Devi (ur. 1957) – urodziła się na Mauritiusie w rodzinie indo-maurytyjskiej (jej przodkowie pochodzą z Indii). Obroniła doktorat z antropologii na uniwersytecie londyńskim. Od 30 lat mieszka w Ferney-Voltaire we Francji. Jest autorką kilkunastu napisanych po francusku powieści, kilkudziesięciu nowel, kilku zbiorów poetyckich i opowieści autobiograficznej. Po jej twórczość często sięgają badacze literatury i kultury zajmujący się problematyką postkolonialną i feministyczną. Utwory Devi ukazują skomplikowaną strukturę rzeczywistości i ludzkich relacji: z jednej strony, szukające wyzwolenia bohaterki Devi łamią kody społeczne, religijne, kastowe, z drugiej strony zarysowana w tych tekstach wizja świata to splot tragizmu, humoru, mocnych obrazów ukazujących ludzką (nie tylko kobiecą) kondycję w stylu, który według samej Devi nawiązuje do swingującej, rozpuszczającej składnię prozy Toni Morrison i do pozornie obiektywnej, ale skrywającej refleksyjność i emocjonalne zaangażowanie twórczości J.M. Coetzego.

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA

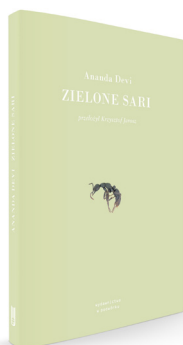
- 2001 Prix Radio France du Livre de l'Océan Indien za powieść *Moi, l'interdite*
- 2006 Prix des Cinq Continents de la Francophonie za powieść *Ève de ses décombres*
- 2006 Prix RFO du livre, za *Ève de ses décombres*
- 2007 Certificat d'Honneur Maurice Cagnon du Conseil International d'Études Francophones (CIEF)
- 2007 Prix TSR du Roman (Télévision Suisse Romande) za *Ève de ses décombres*
- 2010 Prix Louis-Guilloux, za *Le sari vert*
- 2014 Prix du Rayonnement de la langue et de la littérature française, de l'Académie française, za całokształt twórczości

Opis książki

Wydawnictwo w Podwórku przedstawia książkę Anandy Devi *Zielone sari*. Powieść ta (oryg. *Le sari vert* – wydana przez Gallimarda w 2009 roku w prestiżowej serii „Collection blanche” i powtórnie w kieszonkowej serii Folio, w 2010 nagroda Louis-Guilloux) należy do najważniejszych i najbardziej oryginalnych utworów Anandy Devi. Fabuła utworu osadzona została w realiach najnowszej historii Mauritiusa, jednakże niezajomość tych realiów nie przeszkadza czytelnikowi w zrozumieniu ogólnoludzkiej wymowy tekstu.

Na treść powieści składa się monolog umierającego starego lekarza, którym opiekują się 64-letnia córka i 40-letnia wnuczka. Stary Doktor przez całe życie był tyranem i manipulatorem. W dialogach z żoną, córką i wnuczką (rzeczywistych, a może wymyślonych?), ściera się z nimi, skłóca je między sobą, starając się odtworzyć i utrzymać dawną uprzywilejowaną pozycję domowego despoty. Powoli, ale nie do końca, rozwija się tu wątek rodzinnej przemocy, w którym dopatrzyć się można również symbolicznego przedstawienia stosunków panujących w konserwatywnym, patriarchalnym społeczeństwie.

Parametry techniczne
2018, objętość: 240 stron
format: 140×205 mm
oprawa broszurowa z obwolutą
ISBN 978-83-64134-25-8
cena: 38 zł



Fragment tekstu

Ustyszałem wjeżdżający pod górę samochód; rozpoznawalne z daleka rżężenie starego gruchota, który napawa ją dumą za sprawą czegoś w rodzaju snobizmu na wspak i który prowadzi na bezdechu, całkowicie owinięta wokół kierownicy.

Zadzwoiła do drzwi, kilka razy, niecierpliwie pragnąc wejść. Chichoczę. Nie wie, co ją czeka, ale ta druga kretynka, ta, co ją wezwała, wiedziała, w co ją pakuje. Nie spieszy się, żeby otworzyć, powłóczy pantoflami i swoim chudym ciałem, gdzieś w dławiącym się ciszą domu, za rojącymi się od termitów ściankami działowymi. Tamta, zniecierpliwiona, miota się na wietrznym podeście przed drzwiami.

Wreszcie decyduje się otworzyć. Wyobrażam sobie ich wstydlivy pocałunek, plaskające wydatne policzki. Za to spojżenia się nie spotykają: obydwie nauczyły się na sobie nie patrzeć. Teraz stara odsuwa się, żeby wpuścić młodą. Młodą jak młodą, skończyła czterdziestkę, jestem tego prawie pewien, nie pamiętam już jej daty urodzenia, ale musi mieć przynajmniej tyle. Druga ma, jak mi się zdaje, z sześćdziesiąt dwa, może trzy. Co za różnica? Obydwie są dużo starsze ode mnie, który mam zaledwie kilka zmarszczek, wszystkie włosy i zęby własne, a na dodatek więcej inteligencji w jednym włosku niż one kiedykolwiek miały w całej masie swoich rozkładających się ciał.

Teraz pora na babskie szeptactwo! Nie mają sobie równych w poszeptywaniu, jakby bezustannie czuwały przy czyichś zwłokach. Szepcze to ze wstydu, szepcze to ze strachu, szepcze

to ze złości, wyszeptuje toto wszystkie sekreciki, których potrzebuje, żeby się czuło ważne. Te tajemnice, które rozdymają je jak gazy, to ich lekarstwo na nudę.

Dlaczego mnie wezwałaś? – mówi pierwsza, rozedrgana w nerwowych domysłach.

Nie mogłam tego powiedzieć przez telefon – mruczy druga.
Powiedzieć czego?

On tu jest.

Jaki on?

Dobrze wiesz.

Koniec rozmowy. Milczenie. Zapomniana kropla potu na wąsach jednej. Chwila wyrwana z próżni, w której żyje druga. Młodsza pobladła. Nie pomyślała, że po całym tym czasie matka wezwałaby ją z tego powodu. Znaleźć się tu przez „niego”, przez tego, którego imienia nie należy wymawiać, nie, tego się nie spodziewała, po tym jak jadąc tu, roiła nie wiedzieć jakie marzenia o pogodzeniu się, gdy zaciskała spocone, drżące dłonie na kierownicy swojego rzęcha. Myślała, że matka chce odnowić z nią stosunki. Pudło! Twoja mamuśka nie chce się z tobą pogodzić, chce tylko, żebyś jej pomogła stawić czoło temu ojcu, na którego nie umiała sobie zasłużyć.

Jak widzisz, zawsze będziesz tą, którą się wzywa, gdy wszystko inne zawiedzie.

Milczenie trwa. Nie słyszę już nawet ich szeptu. Co knują? Co mogą mówić do siebie z tamtej strony drzwi, pozwalając mi się macerować w tym zamkniętym pokoju? Mogła mi dać swój, ale nie, nawet tego nie zrobiła, to pokój gościnny, dla przyjaciół, którzy nigdy nie przyjeżdżają i których nieobecność napętnia pomieszczenie pogardą, a ona mi mówi ze ściśniętymi

wargami i nozdrzami, że toaleta jest obok, tak jakbym miał siłę do niej dojść, czy muszę jej przypominać, że obłożnie chory nie wychodzi z łóżka, że trzeba się nim opiekować i załatwiać jego potrzeby, że ma już życie za sobą, dosyć z siebie dał, teraz to on potrzebuje opieki!

Złość sprawia, że w ustach czuję gorycz żółci. Mam ochotę splunąć. Gardząc pudełkiem z chusteczkami u boku mojego łóżka, zanoszę się kaszlem i wypluwam wydobytą z głębi płuc kulkę zielonego śluzu. Gdy przyjdzie, po prostu schyli się i wytrze. Jeśli w ogóle cokolwiek dostrzeże.

Wiatr zerwał z kamforowców liście i przykleił je do szyby, zasłaniając słabe światło. Miasto Curepipe jako jedyne w kraju pogrążone jest w bezustannej jesieni. Tylko tutaj żyje się w miejscu, które tak stanowczo odmawia dostępu tropikalnemu słońcu. Ciągłe pada, jest zimno, wilgoć wchodzi przez wszystkie pory, pokrywa wam pleśnią skórę, przesyca was śniedzią, sprawia, że między palcami rosną wam grzyby. Nigdy bym tu nie przyjechał, gdybym mógł się schronić gdzie indziej. Ale pozostała już tylko ona, ze swoimi jasnymi oczami o księżycowym kształcie, tymi kocimi ślepiami, przez które otrzymała przydomek Kitty, kiedy była dzieckiem. Wszyscy uważali, że jest ładna z tą swoją trójkątną twarzą o prawie chińskich rysach (a przecież mamy dobre indyjskie korzenie). Uśmiechałem się, kiedy to mówiono. Gdy tylko zostawaliśmy sami, od razu wyprowadzałem ją z błędu: mówią tak, żeby mi sprawić przyjemność, przypominałem jej. Mówią tak, bo nie masz matki. W rzeczywistości nie jesteś piękna. Jesteś inna. Jesteś potworna. W rodzinie nikt nie ma oczu o takiej barwie i kształcie jak ty. Nie wiem, skąd się wzięłaś. Powinni cię nazywać raczej Chinolką.

Konsternacja dekomponowała jej twarz. Wstyd kneblował usta. Mówiłem jej wtedy, Kitty, Kitty, Kitty, chodź, moja koteczko, chodź na kolanka do tatusia. A ona wzdychała, drżała, zbliżała się.

Jej prawdziwe imię to Kaveri Bhavani. Gdy miała przyjść na świat, jej matka długo pochylała się nad starymi księgami, żeby w końcu wydobyć z nich to trudne do wymówienia słowo. Nazywała ją Kaveri Rani, księżniczką Kaveri. Na szczęście Kitty nie pamięta tego. Na szczęście jej matka umarła, zanim mogła nafaszerować głowę córki złudzeniami.

Księżniczka Kaveri nie przetrwała długo. Potem stała się dla wszystkich Kitty. Po prostu Kitty. To imię na jej miarę.

Jest jak te koty, co wpatrują się w was ślepiami tak zimnymi, że macie ochotę wytrzeć sobie zelówki ich czystym futerkiem.

Wiem, jakie jest podłoże tego bagna. W końcu dobrze wybrała dla siebie miasto: Curepipe pasuje do jej natury szamba.

W kamforowcach oszalałe od deszczu bengaliki podjęły swoje chóralne śpiewy. Nie dają mi spokoju. Za każdym razem, gdy zaczynam usypiać, rzekłbyś, że dowiadują się o tym wszystkie ptaki na ziemi. Potem przyjdzie kolej na ropuchy i wreszcie na psy. Zwierzęca symfonia, ale bez jakiegokolwiek harmonii. Zbyt mocno ceni się przyrodę. Chronić ją przed ludźmi? Ci, co mają oczy otwarte, wiedzą, że to – przeciwnie – ludzi trzeba chronić przed przyrodą. Ale, jak w każdej sprawie dzisiaj, wypada pojmować na wspak nauki naszych ojców.

Te dwie samice kruka, odmawiające za drzwiami swoje litanie pretensji, również stanowią zagrożenie: uosabiają odwet słabych.

Zastanawiam się, co sobie opowiadają. Kłamstwa, ciągle kłamstwa. Powiniennem spać, choćby po to, żeby je wkurzyć,

kiedy w końcu do mnie przyjdą. Mógłbym udawać. Zamknąć oczy, głośno oddychać i słuchać, co mówią.

Potem wprawię je w drzenie, bardzo wiernie powtarzając ich bzdury.

*

Są tutaj. Patrzą na mnie. Nic nie mówią.

Wydają z siebie bezgłośny śmiech, zaledwie falowanie powietrza, które postrzegam mimo zamkniętych oczu. Ten śmiech zawiera nowe porozumienie. Ale nie mogą się zjednoczyć. Muszą pozostać wrogami. Potrzebuję uderzać jedną w drugą, inaczej to w ogóle nie będzie zabawne.

Otwieram jedno oko. Nieruchomieją. Z twarzy Kitty ucieka kolor. Cudowna moc, jaką nad nią mam. Widząc, że na nią patrzę, odruchowo się cofa. Sześćdziesięcioczworoletnia starucha, a ciągle ta mina dziecka, które zaraz dostanie w skórę. Ledwie otwierając usta, szepczę śpiewnym tonem, chodź, Kitty, Kitty, moja koteczko. Tylko ona mnie słyszy. Na pamięć zna tę melodię, moja Kitty, nieprawdaż? Druga się nie rusza, wydaje się, że niczego nie wychwyciła, cisza w radiu, jak mówią młodzi, zawieszona w swojej bańce bezwartościowości. Była już taka jako dziecko: niczego nie rozumiała, oczy miała nieobecne, patrzyła na mnie i miewałem nieraz wrażenie, że mnie nie widzi, że za tym płaskim czołem nie ma nic. Jestem pewien, że jest umysłowo ograniczona, mówiłem. Kitty broniła jej, wiedząc, że to z góry przegrana bitwa.

Jest inteligentna, tylko się ciebie boi, to wszystko, mówiła. A dlaczego miałaby się mnie bać? Bo ty to ty. Nic jej nie zrobiłem. Ona wie.

(Kitty wypowiada takie bezładne zdania, niepodlegające żadnej logice).

Jej córka zebrała się wreszcie na odwagę, żeby zbliżyć się do umierającego dziadka. Cóż za brawura! Winszuję ci, moja córko, powiedziałem jej. Wreszcie zrozumiałaś, że cię nie ugryzę?

Nie, stwierdzam, że nawet rak nie wyleczył cię ze złośliwości, odpowiada.

Zatyka mnie. Nigdy nie ośmielono się tak mi odpowiedzieć. Nikt w mojej obecności nie używa tego uwłaczającego słowa. Krew napływa mi do głowy. Słyszę jęk Kitty, która już żałuje, że ją zaprosiła. Przeszywam ją spojrzeniem, które powinno sprawić, że ucieknie, ale ona trwa u stóp łóżka, niewzruszona. Ograniczona umysłowo, miałem rację.

Spójrz na niego, mówi, na wpół odwracając się w stronę swojej matki. Naprawdę nie widzisz, jak bardzo jest żałosny? Nie widzisz, że to ludzki strzęp, który nie może ci już zaszkodzić?

To ty tak myślisz, moja córko. Ten ludzki strzęp ma jeszcze możliwości.

Kitty w dalszym ciągu stoi z tyłu, przygnębiona.

Zostaw go, Maliko, mówi. Nie chcę zadawać mu jeszcze większego cierpienia, gdy jest w tym stanie.

Córka przeżuwa jakieś myśli, bardziej krowia niż kiedykolwiek:

Ty też się nigdy nie zmienisz. Dobrze, pójdę sobie.

Kitty chwytą ją za ramię.

Zgodziłaś się, żeby przyjść. Nie możesz się teraz wymigać.

Opanowuje mnie szalony śmiech przechodzący w atak kaszlu. Są zbyt groteskowe, a poziom przedstawienia jest taki, jak się spodziewałem – żałosny. Nie będę się nudził.

Kitty rzuciła się w moją stronę. Drżącymi rękami nalewa wody do szklanki. Zbliżyła się do łóżka, żeby mnie napić. Co czyniąc, nieświadomie stawia stopę na mojej plwocinie. Rozwlecze moją infekcję pod swoimi pantoflami po całym domu, jak przez całe życie ciągnęła za sobą swoją niedolę. Zwielokrotnia to moją radość. Piję łyk wody i opadam na poduszkę, oddychając najmocniej jak się da, żeby lepiej słyszały rżenie wydzielin w moich drogach oddechowych.

Dziękuję ci, Kitty, mówię. Wiem, że zawsze będziesz się o mnie troszczyła, moja córko.

Jej oczy wilgotnieją! Wielki Boże, kretynizm rzeczywiście nie ma granic. Kitty, mała dziewczynka, która zawsze chciała wierzyć w miłość swojego papy, o cudzie ojcostwa, radości płynąca z wiedzy, że wspomnienie dziecka zawsze w nas pozostanie, wraz z jego pyzatością i dąsami! Tyle tylko że pochyłająca się nade mną twarz nie ma w sobie nic z dziecinnego wdzięku. To twarz zwiędła, zbyt blada, z widoczną siatką zmarszczek, z wystającymi kośćmi policzkowymi, z pergaminową skórą. Nic wspólnego ze szczupłą elegancją i naturalną klasą, które ja pomimo lat zachowałem. Zawsze myślałem sobie, że powinienem żyć w innej epoce. Tymczasem muszę sprawować swoją przemożną władzę nad tymi dwoma nędznymi egzemplarzami rodzaju ludzkiego, które gniją na stojąco.

Tato, tak bardzo chciałabym, żebyśmy mogli się do siebie zbliżyć, szepcze mi, bratając się ze mną przeciwko swojej córce.

Też tego pragnę, odpowiadam, dokładnie naśladowując ton jej głosu. Dlatego do ciebie przyszedłem. Tamta nie zrozumie, nie wybaczy, wiem o tym.

Pomogę jej zrozumieć, obiecuję ci, odpowiada, topniejąc z ulgi, gdy widzi, jak bardzo jestem ugodywy. Możemy skorzy-

stać z twoich... z tego czasu, który został nam darowany, żeby rozsypać węzły przeszłości.

Jestem pewien, że chciała powiedzieć „z twoich ostatnich dni”. Być może będą to moje ostatnie dni. Ale rozsypać węzły przeszłości? Wierzy, że to możliwe? Ależ moja droga córko, przeszłość już się dokonała, ponieważ jest martwa. Nie można jej naprawić, gdyż dni są zamknięte, wspomnienia zastygłe, a pamięć skamieniała w swoich straszliwych kształtach. Jak można wierzyć, że cokolwiek da się zmienić. Albo w ogóle chcieć w niej cokolwiek zmieniać?

Tymczasem przezroczysta bariera wyrasta przed jej córką. Malika stoi sama w tym miejscu, którego w ostatecznym rozrachunku jestem jedynym panem, albowiem znam wszystkie jego reguły. Gotowy jestem bawić się w prestidigitatora z ich wspomnieniami, sprawić, że pojawią się i znikną wedle moich nastrojów i kaprysów. Obydwe są tylko biednymi parodiami, szkicami czegoś, co na zawsze pozostanie niedokończone. Łatwe do zniszczenia, kruche; są szmacianymi lalkami, które wykręcam wedle własnego widzimisię.

Och, Kitty, tak mnie boli, mówię tym jęczącym i przygaszonym głosem, typowym dla starych ludzi na łożu śmierci.

Mogę coś dla ciebie zrobić?

Możesz mi pomasażować ramiona?

Oczywiście, tatusiu.

Jesteś pewna, że to nie będzie dla ciebie zbyt kłopot?

Ależ skąd, mruczy.

Nadstawiam jej plecy. Kości naprawdę mnie bołą. Klęka na łożku, żeby mnie masować. Moje oczy spotykają spojrzenie Maliki stojącej koło drzwi. Uśmiecham się do niej. Sztywnieje. Jej oczy rozszerzają się z osłupienia. Nie domyślała się rozmia-

rów mojej dwulicowości. Moimi ramionami wstrząsa kolejny spazm rozbawienia, który Kitty bierze za atak bólu.

Uraziłam bolące miejsce? pyta zaniepokojona.

Po prostu moje ciało niczego już nie jest w stanie znieść, zupełnie niczego...

Mamo, chodź, wyjdźmy stąd, muszę z tobą porozmawiać, mówi Malika.

Nie, najpierw muszę się nim zająć, odpowiada Kitty.

Piękny, piękny potok słów... Tej nocy zawołam ją, żeby mnie masowała. Tej nocy użyczy mi swoich dłoni. Przyprawiające o zawrót głowy, zaatakują węzły zmęczenia, które rozprze-strzeniły mi się po całym ciele. Powiem jej, żeby zdjęła mi pizamę i masowała mnie bezpośrednio po skórze. Oto, co przynosi mi największą ulgę, nawet jeśli jej dłonie nie mają już dawnej delikatności.

Zamykam oczy i wspominam. Kitty, chodź, pomasuj mi plecy, Kitty. Zdejmowałem koszulę, usadowiony za biurkiem. Stawała za mną. Dawałem jej dokładne instrukcje. Jej rączki wahały się, potem kładła je na moich ramionach, naoliwionych skwarem Port Louis. Wahały się, potem przeslizgiwały po łopatkach, po szczycie ramion, po środkowej części pleców, napierając najpierw niezręcznie, później bardziej stanowczo, na kręgi. Zamykałem oczy i oddawałem się tej słodyczy. Gdyby mogła być tylko tymi dłońmi na moich plecach, wybaczyłbym jej wszystko. Ale słyszałem też jej oddech, wyczuwałem drżące ze strachu ciało, pod zamkniętymi powiekami widziałem jej twarz złapanego w sidła zwierzęcia i czułem rodzącą się w moim brzuchu złość, promieniującą w nim krzepnącym ciepłem. Moje uda kamieniały, oddech stawał

się coraz głębszy i wiedziałem, że gdy tylko jej dłonie rozplą-
czą wszystkie węzły i przyniosą mi ulgę, zrzucę swoją męską
wściekłość na tę pijawkę, która nie pozwalała mi wyzwolić
się z samego siebie.

Kiedy ten moment nadchodził i odwracałem się w jej stro-
nę, po jej policzkach spływały już bezgłośnie łzy. Pytałem ją
wówczas ze spokojem, od którego martwiła ze strachu: Nie
mówiłem ci, żebyś nie płakała bez powodu?

Nie mówiłem ci, żebyś nie płakała bez powodu?

Zadałem to pytanie na głos. Dosłownie rzuca się od łóżka
ku drzwiom. Patrząc na nią osłupiały. Na chwilę uśmierzone
bólé ponownie opanowują moje ciało.

Co się stało?

Jej twarz już jest zbrukana łzami.

Zawsze tak mówiłeś... szepcze. Zawsze tak mówiłeś. My-
ślałam, że próbujemy zapomnieć.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Straciłem mnóstwo terenu.

Kitty, byłem szczery... Nie chciałem, byś płakała z mojego
powodu, moja mała córeczko. Jestem teraz niczym i nie chcę
widzieć, jak cierpisz z powodu tego nic, którym się stałem, to
wszystko, co chciałem powiedzieć, przyrzekam ci.

Nie wie, jak się zachować. Zdyszana, osaczona, z potarga-
nymi włosami. Prawie mi jej żal. Zastanawiam się, z odrobiną
uzasadnionej ciekawości, czy da się wciągnąć w tak oczywistą
pułapkę. Doprawiam to westchnieniem i udaję, że ocieram łzę.

Niewłaściwa ocena sytuacji. Potrząsa głową, z zaciśniętymi
nozdrzami.

Nie udawaj, że płaczesz. Nigdy nie płakałeś, ani po śmierci
mamy, ani po swoim psie. Przypominam sobie wszystkie te

chwile spędzone z tobą i nigdy w twoich oczach nie widziałam łez. Nie graj w to ze mną. Jesteś niezdolny do płaczu.

Wychodzi, trzaskając drzwiami. Nie zdawałem sobie sprawy, że wypowiadam te słowa na głos. Zdradziła mnie starość. Cholerne zgrzybienie! Jest jak spodnie, które rozdzierają się w niewłaściwym miejscu, odsłaniając nasze niegodziwości. Ale nie dbam o to, ona wróci. Zawsze wracała.

Nie ma j... No, w każdym razie wiem, co mam na myśli.

Tytuł oryginału: *Le sari vert*
Przekład, opracowanie i posłowie: Krzysztof Jarosz
Recenzent tomu: dr hab. Tomasz Swoboda, prof. UG

Publikacja współfinansowana przez Uniwersytet Śląski
w Katowicach.



© Éditions Gallimard, 2009
© for this edition by Wydawnictwo w Podwórku
© for the Polish translation and the Afterword by Krzysztof
Jarosz, 2018
Wydanie pierwsze, Gdańsk 2018

Na obwolucie: *Leptogenys maxillosa*, fot. April Nobile, © AntWeb.org,
reprodukcja na licencji: CC-BY-SA-3.0
Opracowanie książki i przygotowanie do druku – zespół wydawnictwa
w składzie: Dorota Szmit, Stanisław Danecki
Druk i oprawa: Drukarnia Skleniarz, Kraków

Wydawnictwo w Podwórku sp.j.
ul. Waryńskiego 44a/16, 80-242 Gdańsk
tel. 731 952 067
e-mail: wydawnictwo@wpodworku.pl
www.wpodworku.pl

ISBN 978-83-64134-25-8

